

# Tracz, Marian

---

## O niejednym nawyku w "EMPEWIKU"

---

Przegląd Pruszkowski nr 1, 31-43

---

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## O niejednym nawyku w "EMPEWIKU"\*

Pisałem już uprzednio, że przy końcu lat sześćdziesiątych na niektórych obiektach wodociągowych w Pruszkowie, ku zaskoczeniu negatywnie uprzedzonych kontrolerów, panował porządek. To już całkiem inna historia. Dlaczego to w hydroforni zwanej "Śródmieście" było i czysto, i kulturalnie, i poprawnie technicznie? A dlatego, że całodobowe dyżury pełnili tam panowie elektrycy. W hydroforni były stale w ruchu pompy wytwarzające ciśnienie, a pompy te poruszane były silnikami elektrycznymi o napięciu wyższym niż normalnie stosowane w sieci do powszechnego użytku. Silniki były pod wysokim napięciem. I wytworzył się prawie mit, że do obsługi załączającej i wyłączającej dopływ prądu mogą być przeznaczeni tylko specjalnie przeszkoleni pracownicy posiadający wykształcenie elektrotechniczne.

Bo jednak wyłącznik elektryczny w czasie manipulowania nim może zaiskrzyć. Bo jednak pracownik manipulację taką przeprowadzający powinien stać na izolującej wykładzinie, bo jednak powinien do przerzucenia hebla stykowego, czy innej wajchy ubrać izolujące rękawice gumowe, bo to wymaga szczególnej wiedzy i dyżurujący przy pompach pracownicy, to muszą być ludzie wysoko kwalifikowani i już.

A jak wysoko kwalifikowani elektrycy, to i stawki wynagrodzeniowe muszą być wysokie. A takie stawki automatycznie podnoszą prestiż robotnika i o ten prestiż należy dbać jak najsilniej i potrzebę takiego prestiżu trzeba szerzyć zawsze i wszędzie.

Że ci dyżurujący dzień i noc, w dzień roboczy i w niedzielę, i w święta, poza dyżurowaniem, prawie nic nie mają do roboty, to jest naturalne - tak musi być. Bo jakby się takiemu dyżurującemu, obsługującemu hydrofornię, polecilo jakąś inną robotę, to on miałby usprawiedliwienie w razie awarii czy to pomp czy to silnika. Bywały nawet żądania, by panowie elektrycy mieli pomoc przy sprzątnięciu ich pomieszczenia. Żądali, by przychodziła do hydroforni sprzątaczką, by pozmywała podłogę, wyrzuciła śmieci, jeśli nie codziennie, to przynajmniej co drugi dzień. Jakoś aż tak daleko w uległości żądaniom nie posunięto się i zdecydowanie oświadczono, że posprzątać to panowie muszą po sobie sami. Tak też zostało.

Ale, że dyżurowało się na zmiany, raz w dzień, a innym razem w nocy, to przecież i sen może pracownika samotnego zmożyć. Na krześle drze-

---

\*) Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji.

mać niewygodnie i głowa się kiwa i kark może zboleć, więc jeden z elektryków, pan Kurcweil podarował dla swego miejsca dyżurowania skromną kanapkę. Nie była ona zbyt wygodna, bo twarda, bo nie wyścielana miękko, ale zawsze na niej można było się jakoś ułożyć. Tak to trzech, a w niektórych okresach czasu i czterech dyżurujących, zorganizowało sobie całkiem wygodne niby to prace. Na zmianie drugiej czy trzeciej nocnej można było przespać się, a w czasie dziennym miało się możliwość na dłubaninę domową. Pan Leszczyński był zajęty stale swoim wieloletnim i wystużonym wielce samochodem, zdaje się, że "Syrenką". Pan Miśtela zasadniczo pracował w normalnym dziennym czasie w innym zakładzie pracy, a w hydroforni dyżurował na zmianie drugiej czy trzeciej. Czwarty elektryk, pan Kowalski doskakiwał od czasu do czasu w zastępstwie, bo zasadniczo pracował jako elektryk remontowy, w innych obiektach przedsiębiorstwa.



Oczyszczalnia ścieków w Pruszkowie. Widok na osadnik wstępny i piaskownik

Mając tak wygodne warunki pracy, obsługujący hydrofornię byli na tyle mądrzy, że uświadamiali sobie dobrze, jakie to korzyści daje im to właśnie miejsce. Dlatego to, właśnie dlatego, że byli mądrzy, o porządek i właściwy stan pomieszczeń przez nich użytkowanych bardzo dbali. W hydroforni było czysto i estetycznie. Przy końcu lat sześćdziesiątych do obsługi tej hydroforni dołączył Zygmunt Śniecikowski, też elektryk, który zaocznie uczył się w technikum elektrycznym. Tu miał czas na naukę.



Pomieszczenia tej to hydroforni służyło jeszcze jednemu nawykowi, wytworzonemu automatycznie od początku jej uruchomienia. Była to hydrofornia na osiedlu "Śródmieście", a więc niedaleko ulicy Wojska Polskiego, gdzie w dni uroczystych świąt państwowych odbywały się miejscowe pochody przed speclanie budowaną trybuną honorową. W dniach 1 maja i 22 lipca, w dniach pogodnych i ciepłych, a zawsze takie owe dni bywały, pochód ludu pracującego rozwiązywał się na ulicy Kubusia Puchatka. Część uczestników tych uroczystych pochodów, spontanicznie i z uciechą urzędową nosiła czy to szturmówki czy to transparenty. Po rozwiązaniu pochodu każdy niby śpiesząc się do domu, starał się te atrybuty gdzieś ulokować. Żeby zwrócić je do zakładów pracy, trzeba było w większości wypadków pokonać sporą trasę, ale nasze wodociągowe bractwo miało pod nosem właśnie tę to hydrofornię.

Podążali więc wszyscy uradowani wielce, że patriotyczny obowiązek spełnili. A że trzeba było gdzieś te szturmówki odnieść, więc gremialnie składano je w hydroforni. A że tak wielu kolegów z pracy, a i chętnych koleżanek też kilka, na czele z Luską było zadowolonych z pochodu, więc należało w radosnym nastroju uczcić święto. W ciasnej dyżurce hydroforni zdołało się zmieścić wiele osób, część na kanapce, część na stołeczkach, a część na schodeczkach. Znalazła się zawsze jakaś butelczyna, szklaneczki-musztardówki z szafek ubraniowych obsługa hydroforni używała nader chętnie. Czcila więc brać robotnicza swoje święto po proletariaku. A że w pomieszczeniu zakładowym, no to co? Taka okazja!

Aż tu po kilku latach pojawił się zastępca dyrektora - antyalkoholowiec. Jemu taki nawyk nie spodobał się. Zaczął wymagać, by przestrzegano regulaminu. Zapanowała konsternacja. Konsternacja nawet w kręgach organizacji partyjnej. Ale oficjalnego zarzutu, że to szykanowanie antyproletariackie, nie można było postawić. Przecież zgodnie z regulaminem, na terenie zakładu nie wolno używać napojów alkoholowych. Krzywiono się, ale cóż? Musiano ustąpić. I tradycyjne poczęstunki dwa razy w roku w hydroforni musiały ustać. Jeden z elementów wzmacniania więzi robotniczej z aktywnym partyjnym ulegał osłabieniu, a nawet został wyeliminowany. Ten to prześladowca popijających, sam zdeklarowany abstynent, nie miał zrozumienia dla potrzeb integrującego się kolektywu robotniczego. Zwrócono mu, wprawdzie delikatnie i ogródkami uwagę, że na ten raz czy dwa razy w roku możnaby dla uczczenia święta klasy robotniczej zrobić wyjątek, ale ten prześladowca nie ustąpił.

A dodatkowego argumentu, utwierdzającego go w prześladowaniu popijających, dostarczyli mu sami pracownicy hydroforni. Ni mniej ni więcej w kilka dni po pierwszym maja spalił się silnik od jednej z trzech pomp. Dochodzenie, mające na celu stwierdzenie na czyjej to zmianie się

odbyło, niczego nie wykazało. Zamieszani byli w tą awarię dwaj wykwalifikowani elektrycy, mianowicie Leszczyński i Śniecikowski. Wiadomo było tylko to, że silnik sfajczył się na zmianie któregoś z nich.

A więc tak fachowa obsługa nie ustrzegła tego czym, między innymi, straszono zwierzchników, chcących wydębnić nieco więcej wysiłku od obsługi hydroforni. Jeśli jednemu pracownikowi nie można było winy udowodnić, to konsekwencją mogła być odpowiedzialność solidarna. Ale byłoby to odpowiedzialnością zbiorową, której w wypadku odwołania się pracownika, arbitraż pracowniczy nie uznawałby. Tak więc, aby nie mieć całego kramu z udowadnianiem winy, kierownictwo zakładu wołało machnąć ręką. Nawet premii im nie potrącono. Nie można było.

Ale zaistniała możliwość usztywnienia stanowiska w sprawie popijania i ci co chcieli interweniować, stulili uszy po sobie. A szkoda, bo mogła utrwać się jedność kolektywu zakładowego.

To, że jednak tak wysokiej klasy fachowcy od elektryczności nie ustrzegli silnika przed sfajczeniem, dało wiele do myślenia. Aż się samo prosiło skojarzenie z przepompownią ścieków, gdzie też dyżurują robotnicy, ale nie posiadający wykształcenia elektrotechnicznego, gdzie jedyna zatrudniona kobieta potrafiła nie tylko dopływ prądu wyłączać i załączać, ale kobiecina ta zdołała jeszcze zdemontować silnik i uratować przed zalaniem.

I właśnie do pracy zgłosiła się młoda kobieta, technik elektryk, świeżo po ukończeniu nauki. Takie, jak wyżej wymienione refleksje spowodowały, że bez wahań skierowano młodą kandydatkę do pracy w hydroforni, jako jedną z czterech zmianowych. I okazało się, że Alicja Orzechowska poradziła sobie w miejscu, tak szeroko reklamowanym, że tylko mężczyźni i to o wysokich kwalifikacjach mogą temu trudowi podołać.

Tak to w nowym przedsiębiorstwie wodociągów i kanalizacji powoli, ale uparcie, przebijała się w praktyce prawda o równowartości pracy kobiet. A w przedsiębiorstwie zapotrzebowanie na pracowników permanentnie rosło. O robotników było coraz trudniej. A tu koniecznie trzeba obsadzić tak wiele stanowisk roboczych na nowej oczyszczalni ścieków. A tam każde stanowisko pracownicze wymagało obsadzenia przez aż czterech ludzi. Bo to ruch ciągły. Bo ścieki płyną stale i w dzień i w noc, w dni robocze i we wszystkie dni wolne, niezależnie czy to święta kościelne czy konkurujące z nimi święta państwowe.

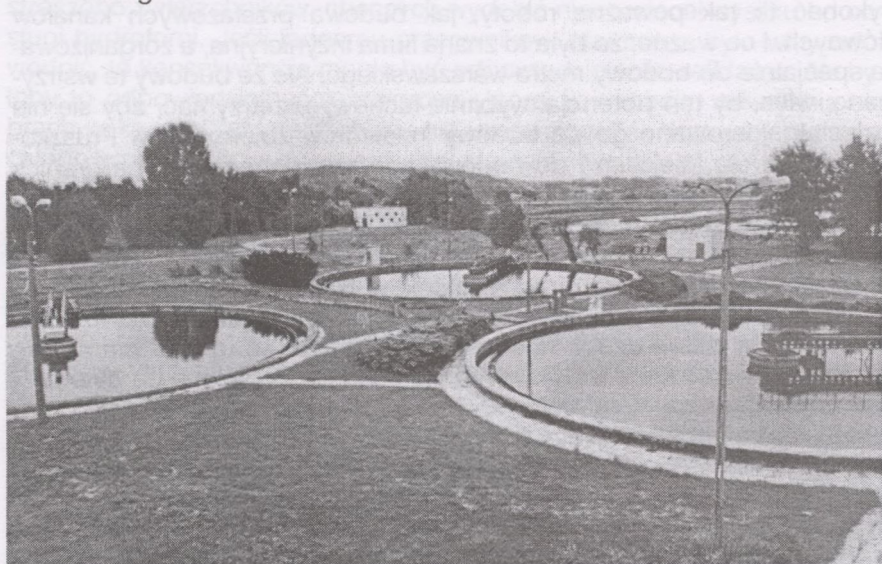
Ponadto rośnie kanalizacja i to nie byle jaka, ale całe przełazowe kolektory. Na dobitek trzeba tę przyrastającą kanalizację od wykonawców odbierać. A to wymaga przeglądów i wydębiania poprawy usterek czy innych fuszerek. A odbierając nowo zbudowane obiekty trzeba wykazać, że się na robocie zna, że nie da się nabrać na wciśnięcie źle wykonanych ro-



bót. I to się nam w większości udało dzięki temu, że stworzono brygadę roboczą pod dowództwem brygadzisty, doświadczonego już robotnika w branży hydraulicznej Stefana Dobczyka. On to był, jak wykonawcy określali, psem na usterki kanalizacyjne. Był postrachem próbujących byle jak wykonać te tak poważne roboty, jak budowa przełazowych kanałów głównych. I co ważne, że była to znana firma inżynieryjna, a zorganizowana specjalnie do budowy metra warszawskiego. Ale że budowy te wstrzymano, więc, by ten potencjał wybitnie fachowy przetrzymać, aby się nie rozleciał, skierowano go do budowy kolektorów zbiorczych w Pruszkowskim Zespole Miejskim i do budowy oczyszczalni ścieków na granicy Żbikowa i Domaniewa. Firma ta budowała przedtem oczyszczalnię ścieków dla Żywca i tam zwerbowała sporą ilość robotników górali, którzy do perfekcji opanowali zastosowanie słomy do budowy kanałów. Tak jak oni umieli układać "koty" w szparach szalunków, by kurzawka nie przeciekała, to nikt nie potrafił. Wykonawcy ci początkowo mniemali, że tutaj to łatwa robota, ale w miarę czasu nabierali przekonania, że ta budowa, to nie przelewki. Że tu robotę trzeba wykonać solidnie, że się nie da byle jak i byle prędko inwestycję ukończyć. Oczywiście, nie tylko ten aspekt gruntownej kontroli obiektów przy ich odbiorze wymuszał dobrą robotę. Pracownicy tej firmy mieli swoje ambicje i swój honor, ale zawsze ta skrupulatna kontrola wykonanych obiektów dodatkowo powstrzymywała amatorów łatwizny.

I tak, co mocniejszych i rozgarniętych robotników musiano kierować do grupy przeglądowo - remontowej brygadzisty Dobczyka. A kim obsadzić inne stanowiska? Bo właśnie przejęliśmy budynek administracyjny wraz z laboratorium w oczyszczalni ścieków. Ale jednocześnie trzeba było przejąć kotłownię, bo to wprawdzie koniec zimy, ale ciepło potrzebne. Aby uruchomić oczyszczalnię ścieków, po przejęciu kolektorów kanalizacyjnych, przynajmniej do jednego z nich, zwanym "A", trzeba włączyć już płynące ścieki. Bo na czym wypróbować działanie oczyszczalni? A bardzo dobra firma wykonawcza nabrała apetytu na korzystniejsze dla nich roboty w samej Warszawie i za nic w świecie nie chciała przyjąć zlecenia na roboty dodatkowe. Wtedy to takie panowały nawyki, że panem i władcą była firma budowlana. Zleceń na przeróżne roboty miały te firmy takie mnóstwo, że przebierali, jak w ulęgałkach. Władze musiały stworzyć specjalne Zjednoczenia, które starały się dyktować firmom budowlanym, co mają robić. Ile to wymagało zabiegów i jakie stosowano wybiegi! Z jednej strony instytucje zabiegające o uzyskanie wykonawców, zaś z drugiej sami wykonawcy stosujący wszystkie możliwe wybiegi, by niewygodnej roboty nie podjąć. To była domena dyplomacji techniczno prawnej, gdzie uzyskiwano opinię dobrego czy złego kierownika przedsiębiorstwa. Dzia-

talność podstawowa to było zadanie uboczne. Obecnie niezbyt budujące zabiegi firm konkurujących ze sobą są niczym w porównaniu z metodami stosowanymi ongiś. Tylko, że kierunek starań był całkiem inny i odwrotny od obecnego.



Oczyszczalnia ścieków w Pruszkowie. Osadniki wtórne

Tak więc przedsiębiorstwo nasze musiało przełączenia ścieków z istniejącej starej kanalizacji do nowych kolektorów wykonywać we własnym, niedoświadczonym zakresie. Całe szczęście, że to było zgodne z własnym interesem. Bo to umożliwiło rozruch oczyszczalni ścieków, ale też umożliwiło uzyskanie dodatkowego funduszu płac.

To pojęcie tak zwanego funduszu płac należy jasno wyjaśnić, by nie było wątpliwości.

Po prostu w PRL obowiązywały różnego rodzaju pieniądze, chociaż wszystkie wyrażone w złotówkach. Ponieważ dysponowano nimi centralnie, więc te przeróżne fundusze musiano specjalnie wywalczać. A najtrudniejsza była walka o fundusz płac. Ekonomia przedsiębiorstwa i to każdego w PRL, była ograniczona przeróżnymi limitami. Nie wystarczyło mieć efekty ekonomiczne, nie wystarczyło zarobić czyli uzyskać wpływy z działalności. Trzeba było mieć zapewnione jeszcze przydziały finansów na różne cele. A na każdy z nich wymagał osobnego przydziału. A więc był fundusz płac zasadniczych, były fundusze premiiowe, fundusze na-



gród, fundusze dyrektorskie, fundusze majsterskiej, fundusze na zakupy w sektorze nieuspołecznionym, fundusze dewizowe i wiele jeszcze przedziwnych, stale na nowo wymyślanych przez zaradnych urzędników i stale zmienianych. Każdy pieniądź w tych funduszach miał swoją indywidualną wartość, chociaż wyrażaną jak inne w złotychkach i miał inną cenę. Wiedza o ich wartości była istotną powodzenia w kierowaniu zakładem.

Oczywiście, że wielkość funduszy wynikała częściowo z decyzji władz zwierzchnich, czasami ze sprytnego przemycenia przez, nawet na niskim szczeblu urzędniczkim, jeśli jej zwierzchnik nie był zbyt bystry, a to było częste, ale wynikało też, w konsekwencji pewnych wskaźników. O tę konsekwencję walczono z władzami od wielu lat. Nawet sformułowano sentencję, brzmiącą mniej więcej tak:

- Panie zwierzchniku, czy się panu mój nos podoba czy nie, to z przekroczenia granicznej wartości określonego wskaźnika musi pan mi przyznać odpowiedni fundusz!

Jedną z metod uzyskania dodatkowego przydziału funduszu płac było wykonanie nadprogramowego przerobu przez grupę remontową.

Znaczyło to, mówiąc prostym językiem, że jeśli przyjęło się zlecenie jakiejś firmy na wykonanie robót remontowych, to po wykonaniu zadania o pewien procent wzrastała ilość pieniędzy przeznaczona na płace dla załogi. Metoda takiego zwiększania funduszu płac była bardzo uciążliwa, bo ten dodatkowy fundusz bywał niezbyt korzystnie wyliczany. Zazwyczaj nie starczało to na zapłacenie wynagrodzeń dla robotników grupy remontowej. I tu okazało się, że można, przy pewnej zaradności, ale i pewnym ryzyku, poradzić sobie z tym pozornie sprzecznym problemem. Do działalności podstawowej a więc do obsługi sieci wodociągowej i kanalizacyjnych, zależnie od ich długości, uzyskiwało się określony limit funduszu płac na tę to działalność podstawową. Jeżeli więc do wykonawstwa robót w działalności pomocniczej, a taką była grupa remontowa kanalizacji, dołączyło się pracę kilku robotników z brygadą działalności konserwacyjnej, podstawowej, to można było z ekonomiką działalności pomocniczej wyjść na swoje. Na tym przykładzie wykazują, jakich to przeróżnych, a niezwykle chytrych metod musiano się chwycić, by jakoś władze starające się wycisnąć w terenie jak najwięcej efektów przy jak najmniejszych płacach, oszukać.

Ta ciągła, podjazdowa walka między kierownictwem przedsiębiorstw w terenie, a władzami zwierzchnimi odbywała się permanentnie na przestrzeni całego kraju. A z drugiej strony należy sobie i to uświadomić, że każdy kierownik narażony był stale na wykrycie takich to niedopuszczalności i wystarczył jeden konkretny donos, by go pogrążyć. Uzależnieni przez ten system byli wszyscy, na wszystkich szczeblach.



Oczywiście, że najlepiej było mieć chody u władz zwierzchnich i dzięki temu uzyskiwać łatwiejsze warunki przez przyznane hojną ręką różnych limitów. Ale nie wszyscy mieli chody i nie wszyscy mogli z takiej drogi korzystać. Nie wszyscy też decydowali się na takiego rodzaju drogę zabiegów.

Kilka przykładów:

O pracowników było trudno. Nowych dla przedsiębiorstwa przydziałał urząd zatrudnienia. Nasza personalna, która osobiście знаła kierownika takiego urzędu w Pruszkowie i mogła do niego osobiście wносить skargi, dostawała polecenie, by wypłakała się przed tym właśnie kierownikiem, że tu, gdzie pracuje, ma bardzo wymagającego zastępcę dyrektora, który będzie ją szykanował, jeśli nie postara się o potrzebnych dla przedsiębiorstwa robotników. Chodziła więc, skarżyła się i było to skuteczne, bo pan kierownik litował się nad dołą swojej znajomej i kilkunastu robotników poszukujących pracy skierował do naszego przedsiębiorstwa.

Albo przykład drugi:

Plan funduszu płac w Zjednoczeniu w Warszawie przygotowała do zatwierdzenia jedna starsza pani, która darzyła współczuciem młodego niepełnosprawnego ekonomistę. Takie zwykłe litowanie się starszej pani nad dołą pokrzywdzonego przez los młodego człowieka. Wiedza o tym, że młody ekonomista ma u tej pani pewne względy zdecydowała o przyjęciu go do pracy u nas, gdy wyraził zgodę na przeniesienie się. I faktycznie, przez wiele lat konieczny fundusz płac był uzyskiwany bez większych kłopotów.

Natomiast nie mieliśmy w naszym przedsiębiorstwie możliwości w uzyskiwaniu większych limitów na zakupy w sektorze nieuspołecznionym i na wiele innych potrzeb.

A o zainstalowanie telefonów przez wiele lat toczyło się całe wojny. Przecież mieliśmy wiele obiektów porzucanych w kilku miastach. W tej sytuacji brak szybkiej łączności bardzo doskwierał. Nie mieliśmy tu, niestety żadnych chodów. Dla zilustrowania problemu opiszę sposób zdobycia jednego telefonu dla bazy wodociągowej w Pruszkowie przy ulicy Stalowej. Kilka lat każdą wiadomość z Zarządu przy ulicy Domaniewskiej (biegnącej aż za cmentarzem żbikowskim) do bazy pruszkowskiej trzeba było przekazywać gońcem. Telefonicznie polecało się dyżurującemu w hydroforni Śródmieście przy ulicy Tomcia Palucha, by on, jeśli to było ważne i pilne, wędrował z wiadomością na ulicę Stalową. Regularnie też mistrz wodociągów z ulicy Stalowej o określonej godzinie wędrował do tej hydroforni, by się skomunikować z zarządem.

Aż tu jednego razu, gdy grupa remontowa pod wodzą kierownika Stasia Cupriaka wykonywała odcinek wodociągu w Komorowie na zlecenie tamtej gminy, do barakowozu zaplecza zgłosił się jakiś robotnik, mieszka-

niec tej ulicy, prosząc, by mu wykonać podłączenie z tej nowobudowanej rury wodociągowej do jego prywatnego domku. Przypadkiem byłem wtedy w barakowozie i coś mnie tknęło by zapytać, gdzie on pracuje. Okazało się, że w RUT, to jest w pruszkowskim Rejonowym Urzędzie Teletechnicznym. Oczywiście, że jego prośby normalnie nie spełnilibyśmy, bo nie było tego w umowie ze zleceniodawcą. Ale zapytałem go, czy nie załatwiłby nam telefonu z numerem na ulicy Stalowej, w naszej bazie. On natychmiast to zadeklarował i w trzy dni, bez żadnych oporów ze strony kierownictwa RUT, telefon na biurku mistrza Janusza Wojtczaka dzwonił i pozwalał gadać do woli. Przyłącze do domku prywatnego musieliśmy wykonać, co było później przyczyną wielu kłopotów z urzędnikiem gminy, ale jakoś się sprawę zakłajstrowało. A na kierownika RUT nawet interwencja kilkakrotna Naczelnika miasta nie mogła wpłynąć.

Te przeróżne zabiegi o pracowników sprawiły, że podjęto z konieczności decyzję o kierowaniu kobiet do prac zdawałoby się typowo męskich. Zaczęło się od wydobywania i wywożenia osuszonych osadów z poletek osadowych oczyszczalni. Wtedy jeszcze łudzono się, że jest to metoda. Robota prosta, łatwa, ale uciążliwa. Kobiety, a były to panie głównie z Trójmiasta, to znaczy z Domaniewa, Mosznej i Koszajca, tego rodzaju pracę podjęły. Tak kolejno, powoli, skoro tylko udowodniły, że pracować potrafią, przeznaczano je na stanowiska obsługi urządzeń oczyszczalni. I co? I okazało się, że obowiązki swe wykonywały solidniej od chłopów. Przecież ich praca polegała głównie na kręceniu różnymi zasuwami, na włączaniu i wyłączaniu urządzeń, głównie pomp w ruch i bezruch, na utrzymaniu porządku i względnej czystości w terenie. To otwieranie i zamykanie zasuw, jak i włączanie i wyłączanie pomp musiało opierać się na zrozumieniu, chociaż w ogólnym zakresie, istoty zjawisk technologicznych oczyszczania ścieków. Ten zakres wiedzy panie z oczyszczalni bez większego trudu przyswoiły. Dlaczego używam słowa "panie" a nie pracownice czy robotnice? Bo takie określenie pasowało do wyglądu naszych pań po skończeniu pracy. A pracowały na trzy zmiany.

Chłopy czy to z pompowni, czy to z warsztatów, czy z kotłowni tak się zasugerowali tym, że pracują w brudnym środowisku, bo to ścieki, że ani im w głowie było, by po skończeniu pracy jakoś się ogarnąć, solidnie się umyć i przebrać. Bo jednak był dylemat.

Po każdym porządnym umyciu się, a więc po prysznicu, pozostają mokre włosy. Każdy robotnik ma do wyboru: albo włosy ściąć na krótko, albo po umyciu nosić na mokrej głowie jakąś solidną czapę czy kapelusz, albo tracić czas na suszenie włosów, albo się przeziębiać, albo się nie myć. A nasze panie? Mając dłuższe włosy dylemat ten odczuwały jeszcze dotkliwiej. Zdecydowano więc wyposażać umywalnię kobiet w specjalną



suszarkę do włosów, taką dużą, skuteczną, jaką używają fryzjerki. Decyzja ta okazała się jedną z najszcześniejszych. Nasze pracownice oczyszczalni ścieków nie tylko, że gruntownie myły głowy, ale jeszcze przeprowadzały całe skomplikowane zabiegi fryzjerskie. Zawsze tam któraś w godzinach pracy tę godzinę dbałości o fryzurę znalazła. A jak już w czasie pracy nie dało się, to chętnie zostawały w szatni, by wzajemnie robić sobie trwałą ondulację. Chodziły więc nasze panie ufryzowane super elegancko, obsługując urządzenia oczyszczalni równie elegancko. Jak się wyglądało, tak i trzeba było utrzymywać swe otoczenie. Dbały więc o czystość pomieszczeń, a kwiaty w doniczkach były dodatkowym potwierdzeniem dbałości wynikającej z posiadania fryzjerskiej suszarki. A jak skrupulatnie dbały o to urządzenia, ho, ho.

Nawiasem mówiąc, to w wielu zakładach pracy problem wysuszenia włosów po umyciu się jest nadal nierozwiązany. A moda na chodzenie z odkrytą głową trwa uparcie i wiedzie do przeziębień.

W nowo wybudowanej stacji wodociągowej w parku miejskim w Pruszkowie do obsługi zarówno pomp, jak i filtrów, bez żadnych już oporów zatrudniono także kobiety. To już nikogo nie dziwiło i nie zaskakiwało. Tam to znowu, wykorzystując obszerne pomieszczenie, ustawiono dużą pralnię. Taką używaną w zawodowych pralniach. Pozwolono kobietom obsługującym stację, by korzystały z tej to pralnicy do własnych domowych prępierek pod warunkiem, że będzie to wykonywane z umiarem i, że one w wolnej chwili w czasie ośmiogodzinnego dyżuru będą prac ubrania robocze swych kolegów po fachu, obsługujących sieci wodne i kanalizacyjne w mieście. Tak więc udało się pogodzić prywatny interes z interesem przedsiębiorstwa.

Kobiety w tej to hydroforni przestrzegały pewnych zasad uwzględniających warunki. Suszenie wypranych ubrań nie tylko roboczych, ale prywatnych odbywało się na zmianach drugich i trzecich. Wtedy to nie spodziewano się żadnej nagłej a niespodziewanej kontroli spoza przedsiębiorstwa. Bo przecież coś takiego, jak pranie brudnej odzieży mogło jakimś służbiście nie spodobać się.

Ale właśnie dzięki tej ugodzie ubrania robocze robotników sieciowych zarówno wodociągów jak i kanalarzy mogły być utrzymane w czystości. A, że to pranie odbywało się na stacji uzdatniania wody, no to co? Woda przepływała w urządzeniach szczelnych i nie mogło być żadnego nieporządane go kontaktu. Nadgorliwcy dowiedziawszy się o czymś takim, zaraz wynaleźliby masę urojonych powodów uzasadniających, że warunki sanitarne nie są przestrzegane. Szczególnie niebezpieczne jest powierzenie uprawnień kontrolerskich osobom nie do końca doksztatconym, którym fakt kontrolowania daje satysfakcję z wyżywiania się na innych i z wynaj-

dywania formalnych zastrzeżeń. Często formalisci nie są w stanie ogarnąć szerzej istoty zjawisk. Na omawianej stacji wodociągowej utrzymanie czystości było opłacane pewnym dodatkowym udogodnieniem dla pracowników obsługi.

Pracownikom trzeba zawsze dać coś za coś. Dodatkowa sumienność musi być dobrowolna, ale czymś zrekompensowana.

Jeszcze o jednym aspekcie, może niezbyt przyjemnym, wynikającym z tak stosunkowo licznego zatrudnienia kobiet na stanowiskach w ruchu ciągłym, a więc na zmianie drugiej i trzeciej nocnej.

Ujemny aspekt pracy kobiet w nocy czy po południu teraz byłby może szeroko znany, bo doczekaliśmy się zdefiniowania i spopularyzowania pojęcia molestowania seksualnego. Przed dwudziestu laty zjawisko to nie było powszechnie znane, bo je przemilczano, sprawa jednak była. Niektóre z pań pracujących na oczyszczalni co nieco też wylały, bo czasami były w sytuacji zbyt dla nich trudnej, szczególnie gdy jurny nagabywacz był zwierzchnikiem. A opinia majstra liczyła się, bo jednak mogła wpływać na wysokość zapłaty różnych części wynagrodzenia.

O wielu sprawach możnaby jeszcze wspominać, ale należałoby przedstawić również historię Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji w Pruszkowie.

Zaczynaliśmy w bardzo trudnych warunkach. To truizm. Na początku uruchomiliśmy oczyszczalnię ścieków. Z tego też względu sprawy odbioru ścieków i oczyszczanie ich były najważniejszymi dziedzinami naszej działalności i taką nadal pozostają, mimo, że nie wszyscy to rozumieją.

Pragnę zwrócić uwagę na podstawowy aspekt techniczny problemu oczyszczania ścieków: to co się odbywa w naszej oczyszczalni nie jest niczym innym, jak tylko naśladowaniem przyrody - technicznym wykorzystaniem zjawisk zachodzących w procesie samooczyszczania wód na powierzchni ziemi. Wykorzystujemy organizmy żywe, które zjadają zanieczyszczenia, a cały kunszt działania technicznego polega na tym, by tym organizmom tworzyć optymalne warunki, przede wszystkim muszą mieć czym oddychać, stąd to ciągle napowietrzanie ścieków.

Tylko, że to naśladowanie przyrody jest przez technikę zintensyfikowane, prowadzone w sposób bardziej energiczny.

Oczyszczanie ścieków odbywa się za pomocą urządzeń. I tu tkwi istota powodzenia całego przedsięwzięcia. Urządzenia naszej oczyszczalni były gruntownie przemyślane, ich funkcjonalność pewna, ich przeznaczenie sprawdzone. Należy dostrzec inicjatywę, trud decyzji, pracę twórczą nad znalezieniem optymalnych rozwiązań.

Należy cenić wieloletnią, systematyczną pracę związaną z prowadzeniem i koordynowaniem tak dużej inwestycji.



Urządzenia oczyszczalni zostały wykonane w sposób solidny i trwały, tutaj beton naprawdę jest piękny, jest przede wszystkim wodoszczelny, a to się liczy. Wykonawcom za ich solidną, dobrą robotę należy się wdzięczność.

Działanie przez szereg lat wielu ofiarnych ludzi udowodniło wyraźnie i jednoznacznie, że ścieki można oczyścić, że ochrona środowiska człowieka nie jest frazesem, że to co człowiek niszczy swoją techniką, człowiek może naprawić, że nasze rzeki mogą być czyste.

Przez wiele lat myślano poważnie o rozbudowie urządzeń oczyszczalni, urządzeń sprawdzonych w praktyce, których rozbudowa nie będzie ryzykiem kryjącym konieczność poszukiwania nowych rozwiązań. Obecnie nadal musimy dążyć do rozbudowy i efekty tego muszą być widoczne.

To "credo" jest w Pruszkowie nadal aktualne. A cała załoga może być dumna z osiągnięć.

Jak wiadomo z praktyki - temu kto pracuje dobrze, na kogo można liczyć - dokłada się roboty. Twarda to prawda, ale zawsze uznawaliśmy zasadę, że pracować trzeba. Tak więc dokładano nam ciągle:

w 1972 roku - Piastów,

w 1973 roku - Ursus,

w 1974 roku - Błonie, Ożarów,

w 1975 roku włączono nas do MPWiK Warszawa. A więc uznano nas za lepszych i napewno silniejszych.

W 1976 roku dołożono nam Grodzisk i Milanówek.

I zawsze powtarzano:

- Podejmijcie tam działalność, bo potrafcie dobrze pracować.

Tego nam nikt nie zaprzeczy.

Rozrastaliśmy się nie tylko terytorialnie ale i technicznie. Zaczynaliśmy od jednej "Nyski" i "Stara" a teraz? - Doprowadziliśmy do kultury technicznej wiele obiektów, nawet wydawałoby się, beznadziejnych w swym zaniedbaniu.

Przetrwaliśmy chwile bardzo trudne z zasilaniem w wodę miast. Były lata, że pracowaliśmy na styk - bez rezerw. Dość przypomnieć Ursus z rozrastającym się "Niedźwiadkiem", - Pruszków z "Parkową" i Wyględówkiem. Błonie z nowym osiedlem "Błonie-Wschód", Grodzisk z zażelazionymi rurociągami, czy Ożarów z zagwożdżoną jedyną studnią oligoceńską. Ile interwencji, ile pomocy w ratowaniu trudnych kryzysowych sytuacji. Dlatego utrzymywaliśmy wiertnictwo, chociaż jak bumerang przez wiele lat wracała pozornie racjonalna koncepcja skierowania go do innych jednostek wyspecjalizowanych. Dlatego utrzymywaliśmy nie tylko grupę remontową do działalności pomocniczej, ale cały system wykonywania drobnych, ale jakże potrzebnych robót inwestycyjnych siłami własnymi.

Dlatego tak aktywnie uczestniczyliśmy w przygotowaniu inwestycji niezależnie od klimatów i koniunktur, niezależnie od tego czy to należało do nas, niezależnie od tego, że mogliśmy umyć ręce, "bo to nie nasze dzieło", niezależnie od tego, że trzeba było za kogoś innego wykonać robotę. Tak było, tak jest i można liczyć, że tak będzie nadal.

A ekonomicznie? -

Najpierw byliśmy przedsiębiorstwem deficytowym, na dopłacie budżetowej. Stopniowo doprowadzaliśmy działalność do trwałych podstaw ekonomicznych. Przecież stworzyliśmy precedens: opłaty za nadmierny ładunek zanieczyszczeń. Wzajemnie różne dziedziny branżowe uzupełniały swoje wyniki ekonomiczne tak, że już od 1974 roku pracowaliśmy bezdeficytowo. Jak w działalności podstawowej były straty, to nadrabialiśmy działalnością pomocniczą, która nawet i teraz przynosi zyski, szczególnie laboratorium, dlatego tak się rozrosło.

Od 1976 roku utraciliśmy samodzielność ekonomiczną i to było przyczyną niepokoju. Za dużo elementów przypadkowych, za dużo niepewności. Mimo trudnych warunków utrzymaliśmy się nadal we wskaźnikach a załoga dała sobie radę i z tym problemem.

A czynnik najważniejszy - czynnik ludzki?

Wzrastała załoga od około 50 do maksymalnie 250. Wykruszyło się ludzi bardzo dużo, ale ustabilizowała się też podstawowa kadra pracownicza. Dowody? Warto policzyć ilu jest obecnie pracowników pracujących tu ponad pięć, dziesięć, piętnaście, a nawet dwadzieścia lat. Drugim dowodem jest osadzenie się w przedsiębiorstwie całych rodzin, jak na przykład:

Bieleccy, Dudzińscy, Gielmudowie, Dziewiccy, Godosy, Gołędzinowscy, Gołaszewicze, Kołodziejczycy, Kostrzewscy, Kowalczykowie, Lenarty, Makowscy, Nowaccy, Oktabiańczykowie, Pakułowicze, Pawłowscy, Samorajowie, Raczkiewicz, Sobiesiakowie, Sochaccy, Wójtowicze, Wojtczakowie, Woźniakowie, Zielonki. Być może listę tę będziemy nadal powiększać.